

Meissner Stefan

część I z II

Sygnatura notacji: **N0171**

Data urodzenia: **14.01.1926 r.**

Data nagrania: **11.08.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Dom rodziny Zielińskich, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 49 min, część II: 48 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stefan Meissner: Jestem Stefan Tadeusz Meissner, urodzony w roku 1926 14 stycznia w Buczynku. To był taki majątek nieduży pod Warszawą, należy teraz do Wielkiej Warszawy, nazywał się Buczynek. Było nas pięciu braci, a ja miałem pięciu synów. Tak że kontynuuję tradycję rodzinną. Byliśmy pokoleniem nazwanym przez kogoś pokoleniem Kolumbów. Byliśmy pierwszym pokoleniem dzieci polskich urodzonych w wolnej Polsce po wieloletnich niewoli. Myślimy sobie z tego nie zdawaliśmy sprawy. To był dla nas chleb powszedni. Urodziliśmy się w wolnym państwie. Mówiliśmy po polsku, mogliśmy się uczyć po polsku, chodzić do polskiej szkoły, uczyć się polskiej historii, czytać polskie książki. I nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jesteśmy tym pierwszym pokoleniem polskich dzieci, które ma to szczęście, że urodziło się w wolnej Polsce. Moja rodzina, nazwisko Meissner jest nazwiskiem niemieckim, bo kiedyś tam przyszła z Niemiec, moi przodkowie, tak jak tradycja czy tam historia mówi, osiedlili się na Inflantach i później, gdy Inflanty stały się własnością polską, to stali się polskimi obywatelami. Nie wiem, ile to lat, ale pokochali ten kraj tak, że we wszystkich powstaniach można znaleźć Meissnerów i Szemiotów. Szemiot to było nazwisko mojej matki, to jest stara litewska rodzina. Meissner, Ferdynand Meissner, który był moim jakimś prapradziadkiem, był jednym z podchorążych, którzy rozpoczęli powstanie listopadowe napadem na Belweder. I o nim Juliusz Słowacki napisał piękny wiersz „Po grzeb kapitana Meyznera”, który umieściłem, bo ja napisałem dwie książki, jedną właśnie, wspomnienia przedwojenne, wspomnienia wojenne, powstańcze i niewola. A druga, po niewoli, pierwszą nazwałem „Krzyknęli: »Wolność!«”. To są pierwsze słowa wiersza Kazimierza Wierzyńskiego. „Krzyknęli: »Wolność, wolność ponad wszystko«, a potem wolnych zdradziecko wydali na łup, na zgubę, na urągowisko. I cisza, cisza, świat się nie wali”. Tak nazwałem tę pierwszą książkę, a drugą książkę nazwałem „Emigranci. Wyzwania wolności. Wspomnienia powstańca warszawskiego”. Więc wróć do tego, że byliśmy pierwszym pokoleniem urodzonym w wolnej Polsce. Czytaliśmy, najpierw

rodzice nam czytali, potem sami czytaliśmy Sienkiewicza, Trylogię. Zawsze nas intrygowała szabla, która wisiała w gabinecie mojego ojca. Nieraz chcieliśmy ją zdjąć tam i zobaczyć, jak ktoś fechtował się, Wołodyjowski czy Skrzetuski itd., ale nigdy nie ośmieliliśmy się. Ale któregoś dnia mój ojciec zawołał nas do swojego gabinetu, zdjął tę szablę i powiedział, pokazał, na niej były wyryte: „Bóg, honor i ojczyzna”. Powiedział: „To jest szabla waszego przodka. I to są hasła, te trzy słowa, każde przedstawia głębię wartości. W krótkich słowach: Bóg to jest miłość. Honor to jest prawda i szlachetność. Ojczyzna to jest odpowiedzialność. Każdy z nas i z was jest odpowiedzialny za ojczyznę”. To są te trzy hasła, zapamiętałem na całe życie. Nasze dzieciństwo i młodość upływała jak w bajce, w Buczynku był raj na ziemi dla nas, dla chłopaków. Mieliliśmy łódki, kajaki, żaglówki na Wiśle. Mieliliśmy kucyka, mieliśmy później konie, na których jeździliśmy. Jednym słowem, był raj na ziemi. Do szkoły najpierw jeździliśmy samochodem, potem gdy przyszedł kryzys i samochód został sprzedany, jeździliśmy taką dojazdową kolejką, która kursowała z Jabłonn do Warszawy i z Warszawy do Karczewa. Więc trzeba było bardzo wcześnie wstać rano, żeby zdążyć do szkoły. A myśmy to bardzo lubili, bo porobiliśmy masę różnych znajomych, można było się urwać na węgry, nikt o tym nie wiedział, itd. To sielankowe życie przerwał wybuch bomb pierwszej [drugiej] wojny światowej. To było 1 września, następnego, 2 września, były moje imieniny. Miałem pretensje do Hitlera, że cholera, zaczął tę wojnę tak, że na moje imieniny, które zawsze były, każde imieniny każdego z nas były obchodzone, zamawiał sobie deser itd., a tutaj nikt o nich nie pamiętał przez tego cholernego Hitlera. 1 sierpnia [września] ktoś tam zawołał: „Słuchajcie, bitwa powietrzna”. I widziałem pierwszą bitwę powietrzną, która się odbywała w kierunku Warszawy. I widziałem pierwszy samolot, przypuszczam, że pierwszy, zresztą tak jak przeczytałem później w historii, to była pierwsza bitwa powietrzna II wojny światowej. I to była bitwa zwycięska, bo później już niestety przewaga niemiecka była taka, że tych bitew zwycięskich nie było. Jeden samolot spadł, myśmy byli pewni, że to jest samolot niemiecki. Pali się, pali, spadł za Wisłą. Wybuchła wojna. Rodzice, mój ojciec był wówczas prezesem Polskiego Czerwonego Krzyża. Miał obowiązki i decyzja była, że jedziemy, przenosimy się do Warszawy. Mieliliśmy w Warszawie wynajęte mieszkanie na ul. 6 Sierpnia, obecnej Nowowiejskiej. Spakowaliśmy tam rzeczy i jakąś taką furmanką pojechaliśmy do Warszawy. Tak że później całe oblężenie Warszawy przeżyłem w Warszawie. Gdy był rozkaz pułkownika Umiastowskiego, żeby młodzież w wieku powyżej iluś lat jechała na wschód, bo tam będzie się tworzyć obrona, moi starsi bracia, Janek i Andrzej, wsiedli na rowery i pojechali, a zostaliśmy w Warszawie mój starszy brat Zbyszek, ja i młodszy brat Zdzisław, razem z babunią, z rodzicami, właśnie na 6 ul. Sierpnia. I tam przeżyłem oblężenie Warszawy. Pierwsze bombardowanie. Do dziś pamiętam, cała kamienica siedziała w bramie pod sklepieniem, bo to niby chroni przed bombami, itd. Ludzie się modlili, a bomba upadła dosłownie kilka metrów przed naszą kamienicą. Gdyby ten Niemiec przycisnął guzik, spuścił o sekundę wcześniej czy sekundę później, to bylibyśmy tak jak wiele innych domów zagrzebani pod własnym domem. Potem, opowiem, z pamięci pamiętam, jak po jednym bombardowaniu palił się szpital Józefa Piłsudskiego, który był na rogu 6 Sierpnia i Niepodległości. A jeszcze dodam, że mój ojciec organizował punkty sanitarne w różnych miejscach Warszawy. Jeden taki punkt sanitarny był właśnie na 6 Sierpnia po drugiej stronie ulicy. Ten punkt składał się z dwóch sanitarek konnych, konne sanitarki. Tam było kilku żołnierzy, jakichś medyków. Gdy właśnie został zbombardowany szpital Józefa Piłsudskiego, to jakiś żołnierz biegł i krzyczał, że szpital się pali, potrzebni są ochotnicy do wynoszenia rannych ze szpitala, więc mój brat Zbyszek i ja popędziliśmy naprzeciwko, tam, gdzie był ten punkt sanitarny, już z góry, bo myśmy się zaprzyjaźnili z tymi furmanami i z końmi. Krzyczymy: „Zaprzęgać, zaprzęgać, bo szpital się pali”, a tam nikogo nie było. Nie wiem, więc prędko zaprzęgliśmy te konie i sami popędziliśmy tymi sanitarkami do szpitala Józefa Piłsudskiego, i woziliśmy razem rannych do Szpitala Ujazdowskiego i do zorganizo-

wanego szpitala w naszym gimnazjum „Przyszłość” na ul. Śniadeckich. Takie obrazki się utrwały w mojej pamięci. A potem były długie lata okupacji. Okupacji. Najpierw, pierwszych Niemców zobaczyłem na placu Zbawiciela. Mieli kuchnię polową i rozdawali zupę ludziom. I nakręcali filmy, między sobą śmiali się, szwargotali. I pomyślałem, przyglądałem się im, dobrze wypasieni ludzie, eleganccy. Miałem wtedy lat 13. Pomyślałem, że to są, nie miałem do nich żadnej nienawiści czy coś, ale pomyślałem, że to są nasi wrogowie i będziemy musieli z nimi walczyć. A potem zostały na początku otwarte szkoły. Ja chodziłem wówczas już do drugiej klasy gimnazjalnej, ale wkrótce te szkoły zostały zamknięte i Niemcy, wszystkie gimnazja, otwarte były tylko szkoły jakieś techniczne, zawodowe, naturalnie pod przykrywką tych szkół zawodowych były normalne szkoły, gimnazja. Nasze gimnazjum „Przyszłość”, do którego chodziliśmy, zajęte było przez nasz szpital, najpierw polski, a później to był, jak się Niemcy zaatakowali Rosję, to tam był szpital niemiecki aż do powstania. Więc myśmy, nasi nauczyciele zorganizowali gimnazjum razem, było rano w Gimnazjum Wołoskiej na ul. Piusa, czyli obecnej Pięknej. Myśmy chodzili tam rano, a panienki wieczorem, czy odwrotnie i tak skończyłem, zrobiłem tak zwaną małą maturę. A później już nie było dalszych, więc zostały przez nauczycieli zorganizowane tajne komplety. Studentów 8 czy 11, 12 spotykało się w prywatnym mieszkaniu. Za każdym razem na każdą lekcję w innym mieszkaniu. Przychodził nauczyciel i były lekcje. W ten sposób skończyłem gimnazjum. Nie będę opowiadał detali śmiesznych, różnych takich, ale w każdym razie skończyłem gimnazjum. I w 1943 roku zapisałem się do liceum Staszica. I tam jak robili, robiłem liceum, to któryś z kolegów mówi: „Słuchaj, czy chciałbyś się zapisać na podchorążówkę jednocześnie?”. Ja mówię: „Naturalnie”. Wiedziałem, że moi bracia wszyscy należą do organizacji podziemnych. Naturalnie nie rozmawialiśmy o tym ze sobą, bo wiedzieliśmy, że w razie jakiejś wpadki, jakiegoś aresztowania czym się mniej wie, tym lepiej. Mój brat najstarszy, który był moim idolem, moim ideałem, należał do jakiejś organizacji, przeprowadzali jakąś akcję, bo akcji było wiele, były różne. I został aresztowany. Aresztowany. Tę historię opisała moja matka w takiej, właściwie z opowiadania mojej matki napisał ksiądz Bozowski artykuł „Dwaj synowie pani Zofii”. To jest historia właśnie moich braci. Pierwszy brat, który zginął, aresztowany przez Gestapo i zginął, jak się później dowiedzieliśmy, na Szucha. Został zamęczony. Zamordowany. To była olbrzymia tragedia dla całej rodziny. Gdy to się stało, jeden z chłopaków z obstawy zadzwonił, że on został aresztowany. Więc wówczas spakowaliśmy, zabraliśmy wszystkie swoje bezpośrednie rzeczy i rozpiechaliśmy się jak wróble po wystrzale. Każdy się ukrywał gdzie indziej. W domu została tylko babunia ze starą służącą. W razie rewizji nawet książka telefoniczna z podkreślonymi nazwiskami, że coś zostało, zostały te wyrwane kartki, itd. Tak że moja nauka, komplety i podchorążówka zostały przerwane. Ja z moim młodszym bratem ukrywaliśmy się pod Warszawą, tam w kierunku Otwocka, w takiej leśniczówce u znajomego. Mijały lata, mijał czas, to był 1943 rok, zbliżał się ten front wschodni. My i Zbyszek, mój starszy brat, i ja zrobiliśmy radę, że my tak nie możemy beczynnie czekać i coś musimy robić. Wtedy moja siostra cioteczna dała nam kontakt do jakiegoś starszego pana, który okazał się później majorem. Powiedzieliśmy, że chcemy być przydzieleni gdzieś do jakiejś partyzantki. Aha, jeszcze przed tym powiem, że jak byłem w tej podchorążówce, takie kilka obrazków, które, jeden obrazek to był taki, żeśmy mieli po południu spotkanie naszej drużyny. Na tych spotkaniach podchorążówki żeśmy się uczyli o broni, o różnych rodzajach broni. I tego wieczoru po południu żeśmy rozbierali taki mały rewolwer. Chyba to była siódemka, może nawet piątka. Składaliśmy itd. I była moja kolej, żeby go po tej zbiórce, po wykładzie, żeby zanieść do składu. I to jest moment, który zapamiętałem na całe życie, bo było już ciemno, to była późna jesień chyba. I było już ciemno, jak zza zakrętu wyszedłem i prosto na patrol żandarmerii. „Hände hoch”, latarką mnie świeci w oczy, a ja miałem taką kurtkę watowaną, grubą, watowaną. I w tej kurtce poprosiłem, bo uszyła ją krawcowa, matka mojego kolegi, poprosiłem, żeby w rękawie zrobiła kieszonkę.

I właśnie akurat ten rewolwer tam świetnie pasował, bo to była mała piątka, tak że tam niosłem go. „Hände hoch”, a ten żandarm mnie maca. I nic nie wymacał. Tak że, a pode mną się nogi załamują. Gdyby spojrzeć na kolor mojej twarzy, to przypuszczałby od razu, zobaczył, że coś nie w porządku jest. Ale puścili mnie. Na drugi dzień poszedłem od razu do kościoła i podziękowałem Bogu za cud, bo to był cud. Druga z tego okresu, jak byłem na tej podchorążówce, to była akcja sabotażowa, na której nasza drużyna była osłonową drużyną. To było poza Warszawą, gdzieś tam w stronę Lublina. Wysadzaliśmy tor kolejowy. To znaczy ja nie wysadzałem, ja byłem tylko w tej obstawie ze Ste-nem. I było kilku jeszcze z obstawy, a tam to inni koledzy podkładali ładunki pod tor. I myśmy tylko z daleka widzieli, jak to wybuchło, gdy pociąg jechał. To wszystko, bo było trochę nerwów, ale żadnej, nic innego. Potem dostałem o dziwo za to Krzyż Partyzancki. Potem, co jeszcze takiego z tego czasu? Aha, jedna była, też taka. Mieliliśmy zbiór-kę gdzieś tam chyba na Saskiej Kępie w takiej jakiejś willi na piętrze, gdy podjechało na ulicę, przyjechała buda z żandarmami na tę uliczkę, więc myśmy wyskakiwali przez okno z tego pierwszego piętra, do ogródka tam i wtedy sobie skręciłem nogę w kolanie, która mnie dokuczała później w sportach, szczególnie w koszykówce, przez całe życie. Ale też nie było nic. Oni, okazało się, nie nas szukali. Więc teraz wrócę do tego majora, do którego poszliśmy, że chcemy jechać do partyzantki, do lasu. On nas zrugął, powiedział, że jak możemy wyjeżdżać z Warszawy, gdy w Warszawie będą się działy wielkie rzeczy. Tu potrzebny jest każdy żołnierz, każdy. To poprosiliśmy o przydział, na jakiś przydział do AK. Dostaliśmy przydział do, nawet nie pamiętam, jak się nazywał, nazywał ten, to się jakoś tak dziwnie nazywało, Służba Ochrony Powstania czy coś takiego. Tak się nazywał ten oddział. Ale w każdym razie mieliśmy przydział i już ja złożyłem przysięgę jeszcze, jak do podchorążówki wstępowałem. Tak że w tym oddziale zastało mnie powstanie, to znaczy 1 sierpnia. Czekaliśmy, mieliśmy... To było na Sosnowej. Na Sosnowej, tam było nas w tej drużynie, już nie pamiętam, jakieś pewno dwunastu, może piętnastu czy coś. Połowa czekała na Sosnowej w mieszkaniu starszego pana, dla mnie starszego. On pewno miał 28, 29 lat. Później się okazało, że to jest porucznik „Sokrates”. Jego pseudonim był „Sokrates”. A druga część czekała w innym mieszkaniu na rozkazy, jakie nasze za-danie 1 sierpnia. Nie wiedzieliśmy, bo nasz oddział, dowództwo było na placu Trzech Krzyży, a tutaj my jesteśmy na Sosnowej, to jest dość daleko. I tak tam na tej Sosnowej, jeszcze poprzedniego dnia poszliśmy się pożegnać z rodzicami do domu. Co właśnie mamusia bardzo przejmująco opisała w tym artykule „Dwaj synowie pani Zofii”. Tutaj zaczęło się powstanie, to znaczy słyszymy już, wiedzieliśmy, że o 4 [o 17.00] ma się zacząć, tak że wszyscy założyliśmy opaski. Dalej czekamy, od strony Dworca Głównego słysząc strzały, słysząc granaty. Po pewnym czasie tam olbrzymie płomienie, bo zostały zapalone baraki, składy niemieckie. A my wciąż czekamy, nie ma... Staraliśmy się połączyć telefonicznie, bez skutku. W końcu musi ktoś pójść, nawiązać kontakty. Właśnie Zbyszek i ja żeśmy na ochotnika poszli. Wyszliśmy i poszliśmy tą ul. Złotą do, nie pamiętam, jak się ta poprzeczna nazywała, nie wiem, czy Zielna, czy Wielka, czy coś takiego. Tam był ostrzał z karabinu maszynowego z Chmielnej, z hotelu Astoria. I już tam leżały trupy na tym skrzyżowaniu, bo właśnie tam z Astorii karabin maszynowy był wstrzelany w to skrzyżowanie. I pierwsi właśnie powstańcy tam zostali trafieni. I te sanitariuszki, które później się dowiedziałem, były właśnie od „Gur-ta”. Tam pobiegły ich ratować i też tam już leżały, zginęły. Więc naradę ze Zbyszkim, rozmawiamy, do placu Trzech Krzyży jeszcze kawał drogi, czy warto iść. A chłopaki z opaskami na tym rogu stojący, którzy się później okazali właśnie od „Gurta”, mówią: „No czemu idziecie szukać swojego dowództwa, chodźcie, dołączcie do naszego zgrupowania”. Tak, to była dobra rada, wróciliśmy do kolegów, którzy czekali. Wszyscy, cały ten nasz oddział, do-łączył do „Gurta”. I tak później całe powstanie walczyliśmy w szeregach zgrupowania „Gurt”. Zbyszek i ja żeśmy od razu się zgłosili, powstawała taka drużyna szturmowa. Ile tam chłopaków nas było? Taki podchorząży Sokół orga-

nizował to. Tam zaczęły się nasze boje. Takie obrazki, które się utrwaliły w mojej pamięci. Żeśmy... mieszkali w różnych kwaterach na ul. Chmielnej. Większość czasu to taki był hotelik Oaza, który, przepraszam, powiem, że był polskim burdelem, a po drugiej stronie ul. Chmielnej był hotel duży, który się nazywał Astoria. I on w czasie okupacji był burdelem niemieckim, przepraszam za słowo. Kiedyś, tutaj dygresję zrobię, że po latach, po wielu latach, jak byłem w Waszyngtonie, poznałem profesora Wąsowskiego. I tak żeśmy się zgadali, że on był jako chłopak w czasie okupacji, miał za zadanie spotykać się właśnie z prostytutkami polskimi, które wyciągały różne informacje od Niemców, i on te informacje przekazywał dalej do Komendy Głównej czy gdzieś AK. To taka dygresja. W każdym razie myśmy się śmiali, że walczyliśmy w burdelu i mieszkaliśmy w burdelu przez całe powstanie. Niemcy byli na Dworcu Głównym i kwatrowali w hotelu Polonia. I myśmy polowali na nich, jak z hotelu Polonia przeskakiwali do Dworca Głównego. I właśnie ten Sokół, który zorganizował tę naszą drużynę wypadową, był świetnym strzelcem. On pewnego dnia położył się na łóżku przy oknie i jak któryś przechodził, to walił do nich. Tak że według sierżanta Kura, który był z nim, to kilku trafił, ale wyborowy strzelec niemiecki właśnie w Polonii wypatrzył go widocznie, bo dostał kulę. Nie zmieniał pozycji, ciągle strzelał z tego samego tapczanu. I dostał prosto w głowę na miejscu. Więc my, brat mój, Zbyszek, który miał pseudonim „Marek”, a ja miałem pseudonim „Krzysztof”, bo wziąłem, mój pseudonim to był pseudonim mojego najstarszego brata, tego, który został aresztowany przez Gestapo i zamordowany przez Gestapo. Ja wziąłem jego pseudonim „Krzysztof”, tak że mój pseudonim był „Krzysztof”. Myśmy też polowali, ale nauczeni doświadczeniem Sokół, to zmienialiśmy po każdym strzale okna i kamuflowaliśmy tam, jakieś kwiatki stawialiśmy, kamuflowaliśmy i zmienialiśmy to. Ale nas nie wypatrzył żaden wyborowy strzelec, ale przyjechał Tygrys na Alejach Jerozolimskich. I my się tak za tymi kwiatkami, pamiętam, wypatrujemy, zerkamy i nagle jak rąbnął, to wielka dziura, wyrwana w ścianie. Cegły się posypały i wiem, że mnie na nogę rozbiły, więc myśmy już nie czekali na drugi strzał, tylko zbiegliśmy po schodach, a Zbyszek mówi: „Co ci jest?”. Widzi, że ja kuleję. Zaciągnął mnie na punkt sanitarny i tam akurat służbę miała bardzo piękna sanitariuszka, taka brunetka drobnutka, opatrzyła tę nogę, żartowaliśmy, flirtowaliśmy, itd. Potem, nie pamiętam jeszcze, czy to było dwa dni później, czy trzy dni później, też w jednym domu na Chmielnej żeśmy podobne polowanie, zza kominów żeśmy strzelali do tych Niemców i jeden z kolegów, „Chmura” miał na imię, dostał serię z karabinu maszynowego i leżał za kominem. A my za innym kominem się z Zbyszkciem tam kryliśmy i nagle widzę, że z włazu wyskakuje sanitariuszka, ta sama czarnulka taka, nie zważa na tę serię z karabinu maszynowego i przeskoczyła zwinnie do tego rannego i go opatruje. I to była później moja żona. Tak że tak się zaczęła nasza znajomość i miłość. I to była moja żona późniejsza. No potem Stare Miasto dogorywało. Na Starym Mieście były wówczas koncentrowane ataki niemieckie. Oni najwięcej dostawali. A jeszcze jedno opowiem, jeszcze taką chwilę. To było 15 sierpnia, Dzień Żołnierza. Poszliśmy ze Zbyszkciem i właśnie z sanitariuszką Oleńką do kościoła chyba na Moniuszki, tam był taki kościółek. I w czasie mszy było olbrzymie, okropne bombardowanie. Bomby spadały bardzo blisko, witraże z okien powypadały. Ciemno się zrobiło od kurzu, od dymu, itd. I ksiądz nie przerwał mszy świętej, tylko odprawiał, błąd jak kreda, odprawiał do końca. I bardzo nam zaimponował. Ludzie, większość, gdzieś pokryli się, uciekli z kościoła do schronów, itd., a ksiądz skończył mszę świętą, tak że bardzo nam zaimponował tym. To taka była dygresja. A później właśnie Stare Miasto walczyło naj..., i jak się okazało, był plan, że próba przebicia oddziału ze Starego Miasta przez Ogród Saski, to mieli się przebić do Śródmieścia. Naszym zadaniem, to znaczy oddziałów z naszego zgrupowania, było związać siły niemieckie, z tyłu uderzając na Niemców, z tyłu. To była akcja na ul. Ciepłej, gdzie były tam koszary policji. Naszym zadaniem było tam te koszary zaatakować i jak najdłużej tam związać siły niemieckie i jak największe siły niemieckie. I to była akcja, w której zginął mój brat Zbyszek. Tak. To było

najtragiczniejsze. Chwila mojego... moja chwila w powstaniu, gdy on zginął, obok mnie był. Potem, muszę się przyznać, że mściłem się, a jeszcze powiem coś innego. Aha, tak, dobrze. I później żeśmy potem, to przedtem jeszcze, przeproszam, przedtem była akcja na „Żywiec”. „Żywiec” to była restauracja, która była na rogu Marszałkowskiej i Alei. I tam Niemcy właśnie byli w Polonii, byli na Dworcu Głównym, w hotelu Polonia i na „Żywcu”. I tutaj mieli przyczółek po tej stronie Alei. Naszym zadaniem było ich z tego „Żywca” wykurzyć. Było kilka prób i nie udało się. Wtedy nasza drużyna wypadowa, już Sokół wtedy nie żył, ale Zbyszek jeszcze żył. I myśmy na ul. Widok tam się spotkali jeszcze z innymi oddziałami. O ile pamiętam, to taki porucznik „Żbik” nas prowadził wtedy i on musiał, to rozpoznał, że domy na Widok były spalone, niektóre zburzone, były gruzy, tak że do „Żywca”, okazało się, że można piwnicami dojść od Widok, od ul. Widok, że tam piwnice „Bachusa”, to była taka winiarnia na Widok, że łączą się z piwnicami „Żywca”. Więc on nas miał tam poprowadzić, ten porucznik „Żbik”. Jeden z kolegów wtedy, to było bardzo wcześnie rano, powiedział: „Chłopaki, ja się źle czuję”, a miał Stena, ja miałem tylko karabin, a Zbyszek miał Visa. I ten kolega powiedział: „Źle się czuję”, a miał Stena, „może któryś weźmie Stena, bo ja się źle czuję”. Ja od razu się zgodziłem, zamieniłem mój karabin na Stena. I tak stałem się właścicielem Stena, wymarzonego Stena. Żeśmy tam tymi podziemiami szli. W niektórych miejscach to trzeba było się właściwie czołgać, bo ten popiół jeszcze był ciepły. I tam były składy „Bachusa”, składy win i likierów itd. Żeśmy się wynurzyli w „Żywcu”, Niemcy byli zaskoczeni całkowicie. Po krótkiej strzelaninie tam jeden czy dwóch Niemców zostało zabitych, ale tam reszta uciekła na drugą stronę Alei i zostawili jeszcze gorącą jajecznicę na stole, tak że mieliśmy śniadanie. Ale jak żeśmy się czołgali tam, to zauważyliśmy, że tam są butelki różnych jeszcze likierów, jakichś koniaków. Później po tej akcji, to wracając, żeśmy poszli tam do tej zobaczyć, co tam można znaleźć w tych. I wtedy znaleźliśmy butelki Benedyktyna, likieru, niektóre popękały, inne korki powystrzelały, ale w niektórych alkohol wyparował, a została taka galaretka, więc żeśmy spożywali Benedyktyna, jak chyba nigdy nie spożywał, łyżkami. To zapamiętałem.